

WYDANIE SPECJALNE

GENERACJA

MAGAZYN ŚRODOWISK OSÓB STARSZYCH

nr 14

wiosna 2016

publikacja non profit - egzemplarz bezpłatny

ISSN 2082-2979



foto. archiwum FOŚa

strona **3**

STRAŻNICY PAMIĘCI

Ci, którzy przeżyli wojnę, wciąż są wśród nas. Mamy ostatnią możliwość, aby z nimi jeszcze porozmawiać.

strona **6**

SŁOMA NA GOŁEJ ZIEMI

Przez środek biegł ganek, po obu stronach znajdowały się pomieszczenia do spania, tzn. słoma na gołej ziemi.

strona **10**

DZIECI CIERPIAŁY NAJBARDZIEJ

To kilkuletnie wtedy dziecko samo było w obozie, to był męczennik, absolutnie. Nie wiem, jak ono żyło.

strona **16**

WOJNA ZABRAŁA WSZYSTKO

Zapamiętałam zatłoczoną stajnię, brud i wychodek, czyli po prostu długi drog nad wykopany rowem.

Federacja FOSA jest członkiem
Wspólnoty Roboczej Związków
Organizacji Socjalnych WRZOS
oraz partnerem Sieci HEROLD



GENERACJA

MAGAZYN ŚRODOWISK OSÓB STARSZYCH

*"Rozum mistrzem
wszechrzeczy,
Czas mistrzem
rozumu"*

Wacław Potocki

Redakcja:

Stanisław Brzozowski (redaktor prowadzący),
Bartłomiej Głuszak (redaktor naczelny),
Krzysztof Marusiński,
Elżbieta Szczesiul-Cieślak.

Współpracownicy:

Anna Długozima,
Anna Saracen-Wójcik.

Wydawca:

Federacja Organizacji Socjalnych
Województwa Warmińsko-Mazurskiego FOSA,
ul. Artyleryjska 34, 10-165 Olsztyn,
tel./fax; 89 523-60-92, tel:781-128-252
e-mail: fosa.wm@wp.pl biuro@federacjafoSa.pl

Współwydawca:

Mazurskie Stowarzyszenie Aktywności
Lokalnej w Orzyszu, msal@orzysz.org.pl

Kontakt z czytelnikami:

tel. 796 140 648,
e-mail: generacja@federacjafoSa.pl
Redakcja zastrzega sobie prawo do
dokonywania zmian i skracania
dostarczonych materiałów. Autorzy tekstów
prezentują swoje własne opinie. Za treść
ogłoszeń i opublikowanych listów redakcja
nie odpowiada.

SPIS TREŚCI

STRAŻNICY PAMIĘCI.....	3
Bartłomiej Głuszak	
ŚLADY WOJNY POZOSTAŁY.....	4
Stanisław Brzozowski	
SŁOMA NA GOŁEJ ZIEMI.....	6
Halina Kurpiewska-Wiśniewska	
70 LAT PO WOJNIE.....	9
Stanisław Brzozowski	
DZIECI CIERPIAŁY NAJBARDZIEJ.....	10
Janina Luberda-Zapaśnik	
OJCA ROZSTRZELALI JUŻ W 1939.....	12
Janina Czacharowska	
NIKOMU TEGO NIE ŻYCZĘ.....	14
Sławomir Biegański	
WOJNA ZABRAŁA MI WSZYSTKO.....	16
Anna Sobolewska	
MAMO ZIMNO, MAMO JEŚĆ.....	18
Ksawera Chmielewska	
Z WNUKAMI W OBOZIE.....	19
(fotoreportaż)	
POTULICE ZAMEK, POTULICE LAGER.....	20
Halina Kurpiewska-Wiśniewska (wiersze)	

Zdjęcie na okładce: Grupa uczestników projektu "Strażnicy Pamięci" z Iławy podczas wizyty w b. obozie w Potulicach w 2015 roku.

BĄDŹ WSPÓŁTWÓRCĄ „GENERACJI”

Zapraszamy organizacje, instytucje, naszych czytelników i inne osoby do współpracy przy tworzeniu tej gazety. Szczególnie zwracamy się do osób starszych. Dzielcie się swoją wiedzą i doświadczeniem na temat organizowania sobie i innym dobrego życia. Wy właśnie macie tej wiedzy szczególnie dużo i jest ona najbardziej cenna.

Prosimy o nadsyłanie materiałów z takich dziedzin, jak: aktywność i edukacja osób starszych, organizacje seniorskie, twórczość, materiały poradnicze i wszystkie te, które sami chcielibyście tutaj przeczytać.

Zainteresowanych współtworzeniem naszego pisma prosimy o kontakt z redaktorem, tel. 796 140 648.

Redakcja

Publikację wydania 14 Generacji dofinansowano ze środków Fundacji "Pamięć, Odpowiedzialność i Przyszłość" (EVZ) w ramach projektu "Strażnicy Pamięci".



STRAŻNICY PAMIĘCI

Szanowni Państwo!

Oddajemy do Państwa rąk numer wyjątkowy. W całości bowiem poświęcony jest byłym więźniom obozów koncentracyjnych i zawiera ich wspomnienia. To przejmująca lektura, świadectwo tego, czego doświadczyła Polska i jej obywatele. Te przeżycia ukształtowały ludzi, którzy budowali naszą ojczyznę, zarówno tę dużą jak i te małe.

Ci, którzy przeżyli wojnę, mimo że często w sędziwym wieku, wciąż są wśród nas. Osoby te wiele wycierpiały, a my mamy ostatnią możliwość, by z nimi porozmawiać. Dla nas to Strażnicy Pamięci.

Federacja FOSa od wielu lat aktywnie działa na rzecz systemowej poprawy jakości życia osób starszych. W szerokim partnerstwie prowadzimy stałą diagnozę, staramy się odpowiadać na różnorodne problemy i wprowadzamy innowacyjne rozwiązania. Jedną z grup o specyficznych uwarunkowaniach stanowią byli więźniowie obozów koncentracyjnych, pracownicy przymusowi III Rzeszy, kombatan ci wojenni, którzy żyją w całym województwie warmińsko-mazurskim. Z diagnozy przeprowadzonej przez współpracujących z nami naukowców, a także z obserwacji własnych wynika, że grupa ta pozostaje na poboczu działania instytucji i organizacji. Ofert dedykowanych im bezpośrednio jest niewiele.

Okazało się, że dużo takich osób zamieszkuje Olsztyn i powiat iławski. Zidentyfikowaliśmy główne problemy i potrzeby tej

grupy. To samotność oraz dążenie do zachowania pamięci o tym, co przeżyli. To o tyle istotne, że w dzisiejszych czasach co i rusz spotkamy się z próbami przekłamania historii, np. poprzez częste publikacje mówiące o „polskich obozach zagłady”.

Naturalną konsekwencją naszego działania było objęcie wsparciem tej grupy osób. Dzięki gotowości do współpracy Fundacji "Pamięć, Odpowiedzialność i Przyszłość" (EVZ) Federacja FOSa przeprowadziła w 2013 r. diagnozę, a następnie przygotowała projekt Strażnicy Pamięci, dofinansowany właśnie przez Fundację. Projekt realizowany jest od 2014 r. Kręgosłup projektu to partnerstwo na rzecz osób starszych, ofiar nazizmu. Zawiązało się w 2015 r. i zrzesza kilkanaście organizacji, jednostek samorządowych, jak Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie, Ośrodki Pomocy Społecznej z Iławy i Olsztyna oraz związki byłych więźniów obozów koncentracyjnych, robotników przymusowych, kombatan tów, lokalne stowarzyszenia i in.

Dzięki zaangażowaniu i zasobom partnerów realizujemy szereg działań. Pierwsze z nich to „przyjazny sąsiad”. Uczestniczki i uczestnicy projektu wskazują sąsiadów i umawiają się z nimi na zakres współpracy, np. spacer, rozmowy, zakupy, sprawy urzędowe i in. Kolejne działanie to „ciepły telefon”. Nasi wolontariusze utrzymują stały kontakt z całą grupą, w tym zwłaszcza osobami, które są mniej aktywne i rzadziej wychodzą na zewnątrz. Organizujemy

też uroczyste obchody jubileuszu okrągłych urodzin, pod hasłem „200 LAT”. To wydarzenie, w które każdorazowo angażuje się społeczność lokalna, np. dzieci przygotowujące życzenia bądź występujące z koncertem muzycznym.

Dla naszych beneficjentów zorganizowaliśmy obchody 70 rocznicy wyzwolenia obozów koncentracyjnych. Mogą oni stale liczyć na wsparcie rzecznika praw osób starszych, pomoc biurową i organizacyjną. Najbardziej pojemnym działaniem jest jednak udział w wydarzeniach kulturalnych – seniorki i seniorzy systematycznie korzystają z ofert kina, teatru, uczestniczą w spotkaniach autorskich, uroczystościach, wycieczkach itd. Trzeba też przyznać, że ogromnym wsparciem są wolontariuszki i wolontariusze z Centrum Wolontariatu przy Federacji FOSa w Olsztynie oraz z Iławy. Dzięki nim nawiązały się trwałe więzi, nie jesteśmy kolejną instytucją z kolejną ofertą wsparcia, ale częścią codzienności, z konkretną twarzą i dobrym, ciepłym słowem.

Serdecznie zapraszam Państwa w imieniu redakcji Generacji oraz zespołu Federacji FOSa do czytania niniejszego numeru i wspomnień w nim zawartych. To lektura warta uwagi, dlatego kontynuować ją będziemy w kolejnym numerze naszego pisma.

Prezes Federacji Organizacji Społecznych FOSa w Olsztynie.

ŚLADY WOJNY POZOSTAŁY

Wrzesień 1939 roku przyniósł Polsce wojnę i upadek państwa. Kraj został podzielony między Niemcy i Związek Radziecki. W części, która znalazła się pod władzą Hitlera, powstała Generalna Gubernia, Wielkopolskę i Pomorze przyłączono bezpośrednio do Rzeszy. Mieszkający tam Polacy z dnia na dzień stali się osobami drugiej kategorii, elementem wrogiem i niepożądanym, w najlepszym wypadku tanią siłą roboczą.

Projektem „Strażnicy Pamięci” realizowanym od 2014 przez Federację Organizacji Socjalnych FOSA w Olsztynie i dofinansowanym ze środków niemieckiej Fundacji "Pamięć, Odpowiedzialność i Przyszłość" (EVZ) objęte są dwie grupy kombatantów z Olsztyna i Iławy: byli więźniowie hitlerowskich obozów i więzień, osoby wyrzucone ze swoich domów i gospodarstw, robotnicy przymusowi.

Nowe granice przedzieliły Polskę

Zachodnia część obecnego województwa warmińsko-mazurskiego (obecny powiat nowomiejski oraz miasto i gmina Lubawa) jesienią 1939 roku została wcielona do Rzeszy, znalazła się w Okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie (rejencja kwidzyńska).

Działdowo, w latach 1918-1939 jedyny mazurski powiat w granicach II Rzeczypospolitej, z powrotem należało do Prus Wschodnich (rejencja olsztyńska). W tej części jednak Niemcy poszli jeszcze dalej, przyłączając do Rzeszy także obszar północnego Mazowsza od Mławy po Pułtusk i tworząc osobną rejencję w Ciechanowie (Regierungsbezirk Zichenau).

Niemcy, obejmując te tereny, często (zwłaszcza tam, gdzie aktywna była mniejszość niemiecka) mieli już gotowe listy Polaków do likwidacji. Bratian koło Nowego Miasta Lubawskiego, Komorniki pod Działdowem, Bachotek-Brzezinki w pobliżu Brodnicy już w 1939 stały się miejscem masowych egzekucji. Za tym szedł skoordynowany plan wysiedleń. Na pierwszy ogień poszły osoby, które na terenach wcielonych do Rzeszy osiedliły się dopiero po 1918 roku. Z mieszkań w Gdyni i Toruniu, z gospodarstw województw poznańskiego i pomorskiego, całe rodziny

wyrzucano do Generalnej Guberni. W trakcie planowych wysiedleń (były także nierejestrowane, dzięki wysiedlenia, kiedy miejscowy Niemiec albo volksdeutsch na własną rękę zajmował gospodarstwo lub mieszkanie Polaka) trwających od przełomu 1939/1940 roku do marca 1941 wywieziono do Generalnego Gubernatorstwa 91533 mieszkańców Pomorza.

W dystrykcie ciechanowskim, na terenach, które wcześniej do Rzeszy nigdy nie należały, Niemcy zastosowali inną zasadę; wysiedlali i wywozili do GG właścicieli najlepszych gospodarstw, osoby najbardziej aktywne, lokalne elity.

Do przesiedlenia przewidziano 70 tysięcy osób. Dla nich właśnie, w byłych koszarach w Działdowie, powstał już w 1939 roku tymczasowy obóz, przez który przeszło przynajmniej 5 tysięcy Polaków z północnego Mazowsza. Warunki w nim były straszne: 40-50 osób w jednej sali, bałóg ze słomy na podłodze, robactwo, głód. Obóz w Działdowie przekształcony potem w wychowawczy obóz pracy, od 1942 był obozem karnym. Do końca wojny dorobił się złej sławy jednego z najstraszliwszych miejsc kaźni w regionie. Przeszło przez niego wg. różnych danych od 20 do 50 tysięcy osób, zaginęło 3 do 20 tysięcy. Ostatnie ofiary to więźniowie rozstrzelani w Zawadach k. Starych Jabłonek, podczas marszu śmierci, tragicznej ewakuacji obozu w styczniu 1945 roku.

Nocne wywózki

W Okręgu Gdańsk Pomorze-Zachodnie, od Gdyni i Kaszub, po Brodnicę i Ziemię Lubawską, w planach hitlerowskich władz Polacy mieli ustąpić miejsca Niemcom; w miastach głównie urzędnikom z Rzeszy, na wsi Niemcom pochodzącym z krajów bałtyckich oraz Besarabii.

W lipcu 1940 r. utworzono przy Gdańskim Pełnomocniku Komisarza Rzeszy dla Umocnienia Niemczyzny tzw. Sztab Osiedleńczy, a w miastach powiatowych jego filie. Ich zadaniem było selekcjonowanie polskich gospodarstw, warsztatów lub sklepów przydatnych dla niemieckich osadników. To były jednocześnie listy do wywózki. Niemiecka akcja roz-

poczęta w 1940 roku na dobre ruszyła po ataku hitlerowskich Niemiec na ZSRR w czerwcu 1941. Jednak pierwszy obóz przesiedleńczy dla ludności polskiej utworzony został w Toruniu już w lutym 1940 r. Powstał na terenie dawnej fabryki smalcu przy ulicy Grudziądzkiej, dlatego nazywano go „Smalcówką”. W maju 1941 roku Niemcy utworzyli obóz w Potulicach k. Nakła, a potem także w Smukale pod Bydgoszczą, na terenie byłej fabryki karbidu.

Obozy te najpierw były w zarządzie obozu koncentracyjnego w Stutthofie. We wrześniu 1942 rozbudowany rękami więźniów obóz w Potulicach stał się głównym obozem pracy na terenie prowincji Gdańsk-Prusy Zachodnie. Przeniesiono tam również siedzibę Centrali Przesiedleńczej. W 1943 roku we wszystkich trzech obozach przebywało łącznie 8269 osób. Po likwidacji w 1943 roku obozów w Smukale (1649 osób) i Toruniu (2550 osób) przebywający tam więźniowie trafili do Potulic (niem. Lebrechtsdorf). Tylko w 1941 roku do tego obozu Niemcy przywieźli 3895 wysiedlonych osób (najwięcej w listopadzie - 1325) a w 1942 r. 4338 (najwięcej w maju - 1361).



Znak P musieli nosić polscy więźniowie niemieckich obozów i robotnicy przymusowi fot. archiwum

Obóz składał się z 30 baraków (nr 17 - barak dziecięcy), był otoczony drutem (w nocy pod napięciem) z wieżyczkami strażniczymi i wałem ziemnym uniemożliwiającym obserwowanie tego, co się działo wewnątrz, pilnowany był przez wachmanów z SS-Totenkopfverbände (Trupie Główki). Według zachowanych danych w Potulicach na skutek głodu, chorób i złego traktowania zmarło 1297 osób (w tym 767 dzieci).

Przez obóz przeszło łącznie około 25 tysięcy osób. Pracowali w otwartych na terenie obozu filiach zakładów lotniczych Hansawerke i firmy futrzarskiej,

oraz jako przymusowi robotnicy w niemieckich majątkach na terenie całego Pomorza i Powiśla, po obu stronach przedwojennej granicy. Na terenie obozu, w którego miejscu znajduje się obecnie zakład karny, odsłonięty został w 1969 roku pomnik, upamiętniający ofiary.

Wysiedlenia Polaków odbywały się nocami, wyznaczone do wywózki rodziny miały minimum czasu na spakowanie się i zabranie najpotrzebniejszych rzeczy. Często własnym zaprzęgiem dowożone były do najbliższej stacji kolejowej, gdzie nieraz czekał już niemiecki osadnik z Besarabii, który miał zająć opróżnione dla niego gospodarstwo. Do Okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie obejmujące dawne polskie Pomorze tylko od końca 1940 przesiedlonych zostało 41 296 tzw. „Besarabów”.

Strażnicy Pamięci

Przedstawiliśmy główny szlak wojennej poniewierki osób objętych realizowanym przez FOSę projektem „Strażnicy Pamięci”. Na mapie regionu gęsto jednak także od innych śladów niemieckich zbrodni. Na terenie Prus Wschodnich w czasie wojny pracowały dziesiątki tysięcy polskich robotników przymusowych. Przez jeniecki obóz w Olsztynku przeszło w czasie wojny w sumie nawet 250 tysięcy żołnierzy polskich, francuskich, belgijskich i radzieckich (zwłaszcza ci ostatni ginęli tysiącami), przez stalag w Stabławkach (dziś w gminie Górowo Iławeckie) nawet więcej niż 250 tysięcy. Liczbę ofiar obozu zagłady w Stutthofie na Mierzeni Wiślanej historycy szacują na 65 tysięcy. Mało kto wie, że obóz ten miał także liczne mniejsze filie, kolumny robocze np. w Gutowie pod Lubawą, czy Krzemieniewie, Gwiździnach, Nielbarku koło Nowego Miasta. W Lubawie, w gmachu byłego aresztu sądowego, istniał obóz karny dla nieletnich więźniów. Ponad 150 chłopców, którzy przebywali w nim w styczniu 1945 roku, ewakuowano w głąb Niemiec, mało który wrócił. Na terenach wcielonych do Rzeszy Niemcy prowadzili akcję germanizacyjną, taki zniemczający obóz działał w Nowym Mieście.

Pamięć o tych zbrodniach pozostaje, choć bezpośrednich świadków ubywa z każdym miesiącem. Dlatego wszyscy powinniśmy być Strażnikami Pamięci, w swojej rodzinie, środowisku, miejscowości, regionie, kraju.

Autor jest historykiem i dziennikarzem. W projekcie "Strażnicy Pamięci" uczestniczy jako Rzecznik Praw Osób Starszych Województwa Warm.-Mazurskiego.

3-go września 1939 r. była niedziela. O godzinie 16-tej do mojej wioski – Bzowo, pow. Świecie – wjechali na motocyklach żołnierze niemieccy. Dotychczasowe szczęśliwe dzieciństwo skończyło się.

SŁOMA NA GOŁEJ ZIEMI

Wspomnienia z okresu 03.09.1939 – 21.01.1945

Miałam dziewięć lat i w tę pamiętną niedzielę byłam przyjęta do I-szej komunii. Nasze gospodarstwo zajął syn sąsiadów, miejscowy Niemiec, Otto Spitt. Rodzice i my, dzieci, staliśmy się bezpłatną siłą roboczą. Rodzice liczyli, że w tych warunkach doczekamy rychłego – jak się spodziewano – końca wojny. Tymczasem coraz częściej dochodziły nas wieści o wywożeniu Polaków do łagrów, na roboty do Niemiec, o aresztowaniach i mordowaniach.

W nocy z 15-go na 16-go listopada 1941 roku usłyszeliśmy głośne dobijanie się do drzwi. Weszło dwóch Niemców w mundurach SS i SA i polecili nam szybko się ubierać, ponieważ będziemy wysiedleni. Po chwili weszło następnych dwóch mundurów. Okazało się, że nie zastali sąsiadów wyznaczonych także do wywiezienia, ponieważ ci wcześniej całą rodziną wyprowadzili się do innej miejscowości. W obecności czterech pilnujących trudno było się pakować, wszystko „leciało” z rąk. Nie pozwolono dużo zabrać, gdyż zaraz rano mieli przybyć na nasze miejsce Niemcy z Besarabii. Następnie podstawiono furmankę i odwie-

ziono nas na stację do Warlubia, skąd odjechaliśmy pod konwojem do stacji Maksymilianowo, gdzie było już wiele rodzin. Tu uformo-

ku nieczynnej fabryki karbidu. Zaraz oddzielono ojca, którego wywieziono na roboty do Gdyni. Nasza czwórka z mamą została



Halina Kurpiewska-Wiśniewska pokazuje swoje obozowe pamiątki

wano olbrzymią kolumnę i popędzono w kierunku lasu. Nie wiedzieliśmy jaki los nas czeka.

Sroga zima

W tym roku była bardzo wczesna zima. Droga była trudna. My opatuleni (każdy nakładał na siebie odzienia, ile się dało) szliśmy wiele kilometrów z bagażem, wózki z małymi dziećmi, dzieci na rękach. Moja rodzina: rodzice i czworo dzieci w wieku 15,14,11 i 9 lat stała się więźniami lagru w Smukale. Cały obóz otoczony był płotem z siatki i pilnie strzeżony. Tu zapędzono nas do budyn-

umieszczona w niedużym pomieszczeniu na betonie pokrytym barłogiem. Panowała niesamowita ciasnota. Okropne warunki sanitarne, brud, robactwo, złe wyżywienie, brak ciepłej wody – bieliznę prało się w rzece Brdzie – powodowało liczne choroby.

Na początku 1942 roku wybuchła niezwykle groźna epidemia duru brzuszego. Największe żniwo zebrała wśród dzieci. Oprócz tyfusu łagrowców nękała dezynteria, zapalenie płuc, często angina, a także odra i koklusz.

Komando grabarzy miało dużo zajęcia. Były trzy trumny do

fot. archiwum FOsa

stałego użytku: duża, średnia i mała (w zależności od wzrostu zmarłego). Z bloku wywożono na cmentarz, opróżniano trumnę i wracano z nią do obozu po następne zwłoki.

Choroba tyfusu dotknęła także mnie, mamę i siostrę. Przebieg był bardzo ciężki, tym bardziej, że dołączyło się owrzodzenie ciała. Leczenia praktycznie nie było. Lekarz-lagrowiec (dr Rochoń) pomagał jak mógł, ale możliwości miał bardzo ograniczone z powodu braku leków. Epidemia duru trwała dość długo. Zarazki spływały rzeką Brdą. Okoliczni mieszkańcy zaczęli chorować, wówczas władze lagrowe zarządziły wielkie sprzątanie polegające na usunięciu przegniłej słomy. W halach fabrycznych ustawiono dwupoziomowe prycze.

Dzieci wypędzano do lasu po drewno na opał w wielkim żelaznym piecu. Ciężko było dźwigać mokre drągi. Kapo Afeld pilnie śledził czy ktoś się nie ociąga. Często używał kija, bił niemiłosiernie. Tak okrutnego postępowania nauczył go zwierzchnik niemiecki Knitz. Komendantem obozu był Steinhof. (pochodził z Olsztyna, wcześniej nazywał się Skowroński – red.)

Pluskwy w zamku

W lutym 1943 roku obóz w Smukale zlikwidowano. Lagrowców przetransportowano do Potulic. Tu trafiłam z mamą i siostrami do baraku w tzw. „starym obozie”, niedaleko zamku. Był to prowizoryczny barak długości około 100m na jakieś 8m szerokości. Po bokach było nie wyżej jak na 1 metr. Dach stanowiły deski, w których było dużo dziur, przez które sypał śnieg i lała się woda. Barak posiadał dwa wejścia, po

jednym z każdego szczytu. Przez środek biegł ganek, po obu stronach znajdowały się pomieszczenia do spania, tzn. słoma na gołej ziemi. Na środku baraku stał olbrzymi piec (z cegieł), w którym nigdy nie palono. O zmroku trudno było trafić do legowiska, gdyż nie było oświetlenia. Szczęśliwie nie byliśmy w tym baraku długo. Starsze siostry wywieziono do pracy na majątek w Łobżenicy. Mnie z mamą i młodszą siostrą

gdź 20 maja 1943 r. wysłano ją do pracy w majątku k/Torunia. Pod moją opieką została 10-letnia siostra. Razem byliśmy tylko 10 dni.

Na robotach

1 czerwca wywieziono mnie z grupą dziewcząt na majątek do Siemonia k/Unisławia. Tam zbieraliśmy nasiona rośliny podobnej do mleczu. Na wykopki ziemniaków i buraków przewieziono nas



Numer obozowy Haliny Kurpiewskiej, literka e przy numerze oznacza kolejnego członka rodziny: według porządku a - ojciec, b-matka itd. fot. archiwum FOSy

umieszczono w nowym lagrze zbudowanym przez więźniów Sztuthofu na miejscu wykarczowanego lasu. Mieszkałyśmy w baraku nr 12. To były warunki znośniejsze, chociaż też ciasno. Pricze były 2-piętrowe. Wielkim utrapieniem było robactwo, pchły i pluskwy. Co pewien czas stosowano tzw. odpluskwianie-gazowanie baraków. Po tych zabiegach nasza odzież nabierała różnych kolorów. W Potulicach dzieci miały obowiązek pracy. Zatrudniano nas na terenie lagru do porządkowania, w ogrodnictwie przy pracach polowych. Było bardzo trudno, ciężko i zimno, ale byliśmy z mamą. Jednak niedługo,

do Bocienia w pow. Toruńskim. To była dla nas ciężka praca. Nie miałyśmy ubrania. Rosłyśmy, rozwijałyśmy się, odzież robiła się za mała, nie było obuwia, a była to jesień; deszcze, zimno. Nękały nas choroby, a zwłaszcza czyraki. Leczenia nie było żadnego, trzeba było wychodzić w pole do pracy. Jesienią mamę przewieziono z majątku do Gdyni-Orłowa, gdzie pracowała przy naprawie części samolotów.

Naszą grupę wrócono w listopadzie do Potulic, gdzie zostałam zatrudniona w firmie Schultz przy szyciu kozuchów. Pierwszymi zatrudnionymi w tej firmie były ro-

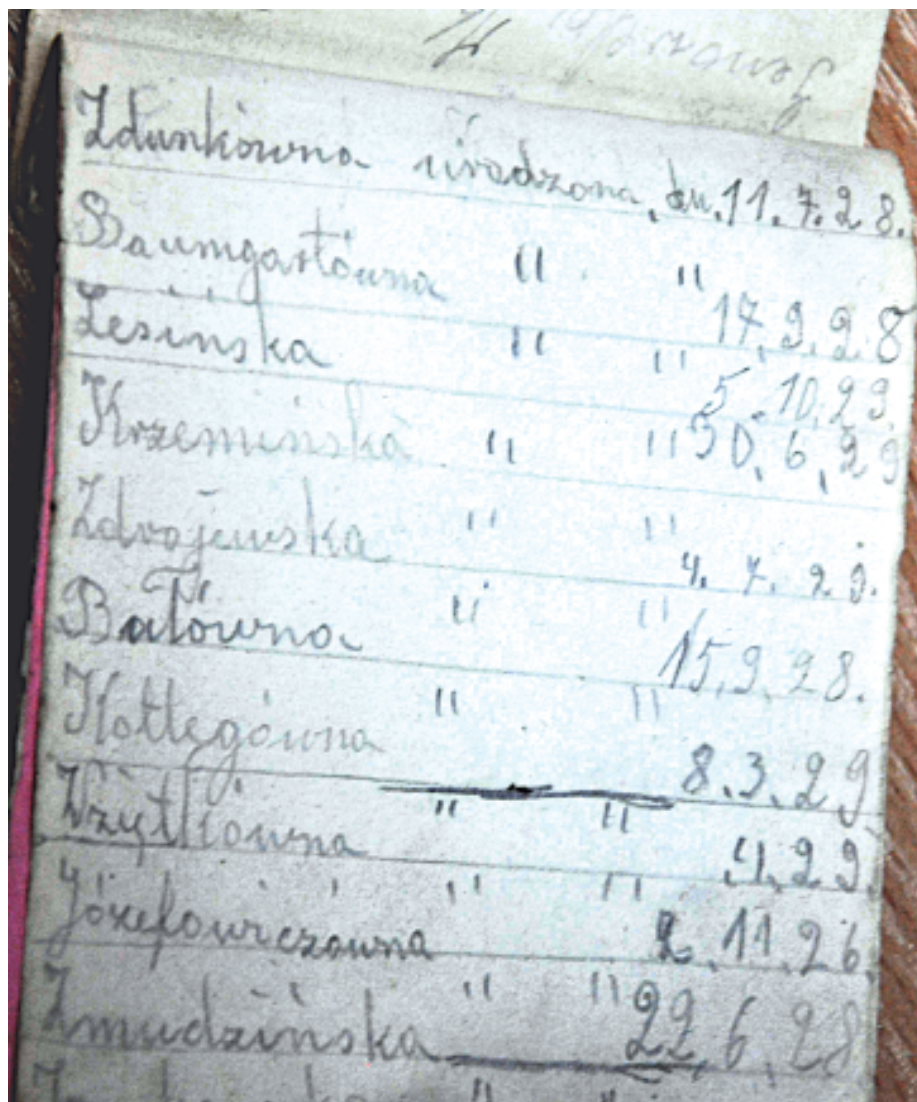
dokończenie na str. 8

dokończenie ze str. 7
dziny żydowskie.

Oni jako fachowcy nauczyli lagrowców umiejętności kuśnierskich. Po pewnym czasie zostali wywiezieni do obozu na Majdanku i tam zamordowani.

Pod koniec 1944 roku coraz częściej dochodziły do nas wieści o walkach, o zbliżającym się wyzwoleniu. I oto nadszedł styczeń 1945 r. - bardzo mroźny. Wróciłam z nocnej zmiany – była to niedziela. W godzinach przedpołudniowych wachmani wpadli do baraków z wielkim krzykiem i w pośpiechu wypędzali ludzi na plac apelowy. Tam formowali kolumny, pędzili w stronę Nakła. Ja ociągałam się z wyjściem – byłam wtedy sama, bez rodziny.

Chciałam wyjść razem z sąsiadem, a jego córka była poważnie chora na gruźlicę i przebywała w baraku 19-izolatce otoczonej dodatkowym bardzo wysokim płotem z drutu kolczastego. Niemcy uciekli, część lagrowców została w lagrze, ale niedługo,



Zdankówna	urodzona	dn. 11. 7. 28.
Baumgartówna	"	" 14. 9. 28.
Lesińska	"	" 5. 10. 29.
Krzemińska	"	" 15. 6. 29.
Zdrojewska	"	" 4. 7. 29.
Balówna	"	" 15. 9. 28.
Holtegówna	"	" 8. 3. 29.
Wojtkówna	"	" 4. 2. 29.
Jokelwiczówna	"	" 2. 11. 26.
Imudzińska	"	" 22. 6. 28.

Notatnik z czasów wojny z datami urodzeń koleżanek z robót fot. archiwum rodzinne



Zdjęcie z robót (trzecia z lewej p. Halinka Kurpiewska) fot. archiwum rodzinne

ponieważ nie było co jeść, bez światła, ogrzewania. Opuściliśmy obóz w małej grupie: sąsiad Grała z sąsiedniej wioski, jego córka

Agnieszka, Helenka Lewandowska z bratem Tadeuszem, Janka Harówna i ja. Do domu było ponad 100 km. Ciernista to była dro-

ga powrotna. Chorą Agnieszkę wieźliśmy na skleconych sankach, potem na jakimś wózku (śnieg stopniał), gdyż nie miała siły iść. Do domu wędrowaliśmy cały miesiąc. W Bydgoszczy toczyły się jeszcze walki. Niemcy bronili się zaciekle.

Dopiero 24 lutego dotarłam do Bzowa, do domu. Byłam pierwsza z rodziny. Ile przeżyłam jeszcze niepokoju o los najbliższych. Szczęśliwie wszyscy wrócili. Mama najpóźniej, była ewakuowana z Gdyni do Halle – tam oswobodzona przez wojsko amerykańskie, wróciła we wrześniu. Biedna Agnieszka zmarła w czerwcu 1945 r. w wieku 22 lat. Autorka jest uczestniczką projektu "Strażnicy Pamięci" z Ilawy.

70 LAT PO WOJNIE

Święto, z zachowaniem pełnego wojskowego ceremoniału, przy udziale władz samorządowych i administracyjnych, na Warmii i Mazurach nigdy dotąd nie miało takiej rangi.



Obchody Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Nazistowskich Obozów Koncentracyjnych odbyły się w Olsztynie 11 czerwca 2015 r. fot. archiwum FOSA

Polski Związek Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych Zarząd Okręgu Warmińsko-Mazurskiego wraz z Federacją Organizacji Socjalnych FOSA przy ważnej współpracy administracyjnych i samorządowych władz regionu, miasta Olsztyna oraz wojska, 11 czerwca 2015 r., w siedemdziesiąt lat od zakończenia wojny, zorganizowali w Olsztynie obchody Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Nazistowskich Obozów Koncentracyjnych.

Święto, z zachowaniem pełnego wojskowego ceremoniału, przy udziale władz samorządowych i administracyjnych, na Warmii i Mazurach nigdy dotąd nie miało takiej rangi. Na jego obchody

Sejm RP wybrał kilka lat temu wspomnienie dnia pierwszego transportu polskich więźniów do obozu koncentracyjnego w Auschwitz w czerwcu 1940 roku. Polscy działacze z Warmii trafiali do hitlerowskich obozów jeszcze

przed wybuchem wojny. W czasie okupacji, po wcieleniu do Rzeszy Pomorza, Powiśla, a także dystryktu ciechanowskiego kolejne dziesiątki tysięcy Polaków znalazło się za drutami niemieckich więzień i obozów.

Obchody w Olsztynie rozpoczęły się w kościele NSPJ przy ulicy Mazurskiej.

- Nie jest przypadkiem, że już w tym samym roku, kiedy Hitler dostał się do władzy, powstał pierwszy obóz koncentracyjny w Dachau. (...) Wszelkie zło musi mieć jednak swój koniec. Chodzi o to, żebyśmy nigdy nie stracili nadziei – mówił przewodniczący uroczystej mszy św. arcybiskup senior Edmund Piszczyński.

Po uroczystościach religij-

nych, z orkiestrą wojskową na czele i w asyście kompanii honorowej oraz pocztów sztandarowych uczestnicy Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Nazistowskich Obozów Koncentracyjnych przemarszerowali pod Kolumnę Orła Białego na Placu Konsulatu Polskiego, gdzie Irena Masica z Iławy, jako dziecko więźniarka obozu w Potulicach, opowiedziała o swoich przeżyciach. Następnie odczytany został apel pamięci, wojsko oddało salwę honorową.

W imieniu władz regionu i miasta kwiaty pod Kolumną Orła Białego złożyli: wicemarszałek Anna Wasilewska, wojewoda Marian Podziwowski oraz prezydent Olsztyna Piotr Grzymowicz. Wieńce złożyli także kombatanck. W imieniu okręgowego zarządu Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych jego przewodnicząca dr Janina Luberda-Zapaśnik. Uroczystości zakończyła inscenizacja słowno-muzyczna przygotowana przez młodzież z Bursy nr 2 im. rotmistrza Witolda Pileckiego w Olsztynie.

Po południu tego dnia, w galerii współpracującej z FOSą spółdzielni socjalnej Humanus, Janina Luberda-Zapaśnik opowiedziała o swoim obozowym losie uczestniczącym w projekcie „Strażnicy Pamięci” wolontariuszom-seniorom. W spotkaniu brali udział przebywający na wymianie w Olsztynie seniorzy z Czech.

W projekcie "Strażnicy Pamięci" autor uczestniczy jako Rzecznik Praw Osób Starszych Województwa Warmińsko-Mazurskiego.

Mój brat, kilkuletnie wtedy dziecko, był sam w obozie. To był męczennik, absolutnie.

DZIECI CIERPIAŁY NAJBARDZIEJ

Janina Luberda-Zapaśnik, lekarz, pedagog i społecznik od z górną 20 lat była przewodniczącą olsztyńskiego okręgu Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych. Urodziła się w 1930 roku w Łopusznej na Podhalu, jednak jej rodzice przesiedlili się do miejscowości Kuchnia, koło Sztumu, obejmując gospodarstwo powstałe z parcelacji dużego poniemieckiego majątku. W tym przygranicznym regionie w podobny sposób powstawały też inne miejscowości np. Walichnowy - po drugiej strony Wisły były już Prusy. Ojciec pani Janiny, Władysław Luberda, był zaangażowany w akcję parcelacyjną i osiedlanie Polaków, dlatego po wybuchu wojny był dla Niemców osobą niepożądaną. W 1941 roku rodzina Luberdów została wyrzucona z gospodarstwa. Z rodzeństwa pani Janiny troje wojny nie przeżyło: bracia Stanisław (ur. 1937 r.) i Kazimierz (ur. 1941 r.) oraz siostra Helena (ur. i zm. 1943 r.)

Myśmy nie uciekali

„Jak rozpoczęła się wojna, to był taki bezład, że ludzie wszędzie uciekali, ładowali się na furmanki, gdzieś szli, wracali. Myśmy nie uciekali, rodzeństwo było małe, czekaliśmy co przyniesie nam los. Przez 1940 rok ojcu coraz trudniej było prowadzić swoje gospodarstwo, jakoś tam funkcjonował, ale cały czas był

niepokój, obawa, że Niemcy coś nam zrobią, że coś z nami zrobią. 1 lipca 1941 roku, mogła być godzina pierwsza po północy, nadjechała ciężarówka z niemieckimi żołnierzami. Walili kolbami w drzwi, obudzili nas, wrzeszcze- li: „raus, raus”. Pamiętam że ma- ma, która była wtedy w ciąży była zupełnie oślepiała, jakby w stupo-

oddzielane od rodziców, mama gdzie indziej, tata gdzie indziej. To był 1 lipca, upał, my nie mieliśmy wody, a podróż trwała wiele godzin. Przywieźli nas gdzieś tam – dla mnie to było wtedy gdzieś tam, ale dziś wiem, że to była stacja Toruń-Mokre. Stamtąd szliśmy pieszo do obozu, tak zwanej Szmalcówki, w byłej fabryce



W sierpniu 2015 roku w ramach projektu "Strażnicy Pamięci" życzyliśmy pani Janinie 200 lat
fot. archiwum FOSa

rze. Nawet dzieci nie dała rady ubierać, ja to robiłam, a miałam troje młodszego rodzeństwa. Na siebie wciągałam jak najwięcej rzeczy, bo nie wiadomo było dokąd jedziemy, na jak długo.

Pamiętam, że nawet jeden z tych Niemców pomagał się nam pakować, upychać do worków, mieliśmy na to najwyżej 15 minut. Tej nocy wywieźli nas do Tczewa. Tam czekaliśmy i czeka- liśmy, a potem poupychali nas do bydłowych wagonów. Pamiętam, był wielki ścisk, larum, dzieci po-

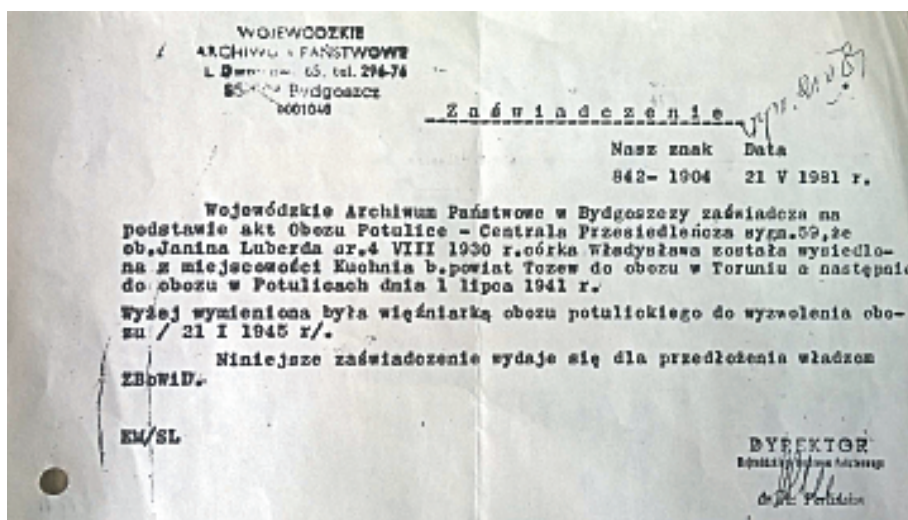
smalcu i oleju. To było bardzo symboliczne, bo wyglądało jakby z nas Niemcy chcieli zrobić smalec albo olej. Miejsce było tra- giczne, jakieś hale produkcyjne, nas ulokowano na posadzce, na ściółce ze starej przegniłej słomy, gorzej jak bydłeta. Dopiero rano zobaczyliśmy, gdzie my naprawdę jesteśmy. W pierwszym okresie, w każdą noc bito jednego więźnia, krzyki było słychać w całym obo- zie. Warunki były bardzo ciężkie, głód nam bardzo doskwierał. Jeszcze w tych pierwszych dniach,

lipiec, sierpień zupy były dość pożywne, wkładano do nich jeszcze wtedy to, co odbierano ludziom zwożonym do obozu. A później zupa z pokrzyw, ze



W obozie w Potulicach zmarła siostrzyczka Janiny Lubierdy, Helena - miała 4 miesiące fot. archiwum FOSA

zmrożonej brukwi. To było nie do przełknięcia, mama nade mną płakała. Chleb, cztery kromki dziennie, czarna kawa rano i wieczorem, może czasami trochę margaryny.” (źródło www.youtube.com/watch?v=vQRd-weVo4E)



Pani Janina Lubierda- Zapaśnik, wtedy 13-14 letnia z obozu w Szmalcówce, który został zamknięty - z powodu przedludnie-

nia, ale być może także epidemii jaka zapanowała wśród więźniów – została przeniesiona do obozu w Potulicach (Lebrechtsdorf) koło Nakła. Jej ojciec pracował przy budowie baraków w tym obozie, potem w fabryce samolotów w Pile. Również dzieci wysyłane były na roboty. W grupach po 10 dziewczynek, pod opieką dorosłej więźniarki, od wiosny do jesieni były „wypożyczane” przez właścicieli czy zarządców niemieckich majątków rolnych na terenie całego Pomorza i Powiśla, po jednej i drugiej stronie przedwojennej granicy. Pani Janina, wtedy 13-14-letnia była w takiej grupie przez dwa ostatnie letnie sezony wojny. Na robotach w okolicach Susza, zastało ją wyzwolenie w 1945 r.

Dzieci zabrali siłą

Wspomina jednak, czego była świadkiem, gdy jesienią 1943 r. po pracy w majątku Gziki wróciła na zimę do Potulic, gdzie zupełnie sam przebywał jej mąż, chory braciszek.

„Mój brat, urodzony w 1939, był ciężko chory na gruźlicę kręgosłupa. I to kilkuletnie wtedy dziecko samo było w obozie, to

ka 1943 roku, kiedy po pobycie na robotach przywieźli nas jesienią z powrotem do obozu w Potulicach byłem z chorym bratem, w baraku sierot, baraku numer 17. Spaliśmy we dwoje na drewnianych pryczach, były prycze dwu i czteroosobowe, piętrowe. W nocy z 23 na 24 października wtargnęli do naszej sali wachmani w mundurach esmańskich i wyrwali dzieci z tych prycz. Jakie dzieci? Chore! Jasio, pamiętam go jeszcze ze Szmalcówki, zdrowe dziecko, ale miał szpotawość wrodzoną, pałkowate nóżki. Zabrali też takiego Stasia za to, że się moczył w nocy. Pamiętam go, bo miał pryczę nad nami, innych dzieci tak dobrze jeszcze nie znałam, całe lato byłam przecież na robotach. Zabrali te dzieci w nocy wśród krzyku i płaczu. Byłam świadkiem, jak z pryczy po przekątnej, górnej brano chłopca, nie wiem jak miał na imię. On trzymał się rękami deski, a wachman rąbał po tych rączkach kolbą, miażdżył je, aż się wszystko rozbrzygalo. Te dzieci zabrane zostały w niewiadome miejsce, przepadły, do tej pory nieznane jest miejsce ich wiecznego spoczynku.” (Brat Janiny Lubierdy-Zapaśnik, Władysław, wojnę przeżył, ale zmarł w 1953 roku – red.)

spisał bs

Janina Lubierda-Zapaśnik przez kilka kadencji była przewodniczącą oddziału Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych. W 2014 złożyła do Sądu Okręgowego w Olsztynie pozew przeciwko niemieckiemu portalowi "Focus" za dwukrotne użycie w publikacjach sformułowania "polskie obozy zagłady". Wywiad na ten temat w kolejnym numerze Generacji.

był męczennik, absolutnie. Nie wiem jak to dziecko żyło, nie umiem sobie tego teraz wyobrazić. Pamiętam datę, 23 październi-

Zawsze we Wszystkich Świętych, kiedy byłam na cmentarzu, myślałam, co się z ojcem stało, miałam wyrzuty sumienia.

OJCA ROZSTRZELALI JESZCZE W 1939

„Jak wybuchła wojna mieszkaliśmy całą rodziną - rodzice i nas trójka - w Zbicznie (k. Brodnicy – bs). Mieliśmy we wsi sklep kolonialny, gdzie było również piwo. Ojciec, Józef Jurkiewicz, lubił politykować; miejscowym Niemcom, którzy przychodzili do sklepu na pewno się nie podobał. Od razu był na czarnej liście, ale go ktoś już pod koniec sierpnia 39 roku ostrzegł, że ma uciekać, bo czeka na niego kulka. Ojciec ukrywał się gdzieś pod Warszawą u znajomych, nawet my nie wiedzieliśmy gdzie. Matka sklep musiała zamknąć i przeniosła się z nami do Polskiego Brzozia, gdzie gospodarstwo mieli jej rodzice. Ojciec właśnie tam wrócił po dwóch miesiącach ukrywania i chyba zaraz następnego dnia Niemcy go zabrali. Trzy dni go trzymali na posterunku w Polskim Brzoziu, rąbał im drzewo a matka mu jedzenie zanosila, aż jej ktoś powiedział, uważaj kobieto, bo i ciebie złapią. Potem zabrali ojca na gestapo w Brodnicy.

Już w listopadzie został rozstrzelany w Bachotku, gdzie Niemcy rozstrzelali około ośmiuset osób z całego rejonu. My wtedy o tym nie wiedzieliśmy, różne były wiadomości, że ojciec jest u Ruskich, że jak nie zginął to wróci, nawet taka, że ojciec jest w Anglii i ...ma nową rodzinę. Po wojnie szukaliśmy go przez wiele

lat przez Czerwony Krzyż i gdzie tylko było możliwe. Aż prawie w pół wieku po wojnie napisałam do Komisji Badania Zbrodni Hi-

dy gdzieś się chował. Pech chciał, że tego 1 maja matka akurat nocowała w domu, brat ją przekonał, że tak długo żyć się nie da,



Janina Czacharowska w biurze Związku w Lubawie

fot. bs

terowskich w Toruniu, oni przekazali sprawę do archiwum w Bydgoszczy, gdzie zachowały się akta niemieckie z Brodnicy. Dopiero wtedy dowiedzieliśmy się, matka jeszcze żyła, że Józef Jurkiewicz został rozstrzelany 15 listopada 1939 r. Ojciec miał wtedy 37 lat...

Do Potulic wysiedlono nas z Polskiego Brzozia z gospodarstwa dziadków, 1 maja 1942 roku. O wywózkach mówiło się od dawna, podobno aż 40 rodzin miało być wysiedlonych z Brzozia, ale ludzie się ukrywali. W dzień, w gospodarstwach trwała normalna praca, a w nocy każ-

a w razie czego będzie czas, żeby w porę uprzedzić. Ale Niemcy wpadli tak zniemacka, że matkę zastali w domu i zaraz do niej z listą, sześć osób, gdzie ten, gdzie ten. Bracia spali w stodole na sianie, ja byłam u sąsiadów, którym wywózka nie groziła, matka mogła im skłamać, ale miała wtedy niewiele ponad 30 lat, oni byli z karabinami, ze światłami obstawili całe gospodarstwo, co biedna miała robić. A trzeba się było szybko pakować, dobrze, że chociaż pierzyny wzięliśmy, do końca nam służyły. Na szczęście dziadków nie zabrali. Babka akurat miała złamaną

nogę i była u syna, naszego wuja, we wsi. Jeden z Niemców poszedł, sprawdził i dał babci spokój. A dziadka matka wytłumaczyła, że pojechał do chorej siostry i jeszcze nie wrócił, choć

dziadek nigdzie nie wyjechał, a całe noce spędzał obchodząc swoje pola...

W Potulicach był taki tłok, że pierwszych nocy nigdy nie zapomniałem. Wszy i pchły, czując świeżą

krw, tak nas obsiadły, że wprost nie do opanowania. Dostaliśmy kawałek barłogu w baraku, którego dach, kryty byle jaką papą, przeciekał. Całe rodziny, jedna przy drugiej, małe dzieci, smród i robactwo, mało miejsc do załatwiania się, a od razu zaczęły się rozwolnienia i biegunki. Jezus Maria! Tam żeśmy siedzieli aż do jesieni 1942 roku. Sami, bo matkę zaraz wzięli gdzieś do roboty, najpierw gdzieś w pobliżu, skąd na noc wracała, ale potem wywieźli gdzieś dalej, na stałe. My dzieci, też musiałyśmy pracować, nie tylko zbierać drewno w lesie, pokrzywy i lebidę, jagody, których jeść oczywiście nie było wolno – jak raz zjadłam i miałam fioletowy język to lanie dostałam, że hej. A głodni byliśmy zawsze, te liszki w zupie z byle czego pamiętam po dziś dzień...”

Janina Czacharowska, w 1944 roku, kiedy tylko wiosną rozpoczęły się prace polowe, w grupie dziesięciu dziewcząt pod opieką jednej dorosłej więźniarki, została oddana z obozu w Potulicach do pracy na majątku Mgowo, koło Wąbrzeźna. Tam raz dostała przepustkę, na dwa dni zabrali ją krewni z Gruty pod Grudziądem, pamięta że pierwsze co zrobili to zawiązali jej głowę i złali naftą włosy, żeby wytępić wszy. W Mgowie, w styczniu 1945 r., pani Jadwiga doczekała nadejścia frontu, choć dopiero w kilka tygodni później, ktoś się nad nią zlitował i w końcu odprowadził do domu. Matki jeszcze nie było, ale jeden z braci zdążył wrócić przed nią.

notował bs

Janina Czacharowska działa w kole Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych w Lubawie.



Bachotek-Brzezinki, pomnik ofiar

fol. Wikipedia

Miejsca niemieckich egzekucji w okolicach Działdowa, Lubawy i Nowego Miasta Lubawskiego

Bachotek-Brzezinki na Pojezierzu Brodnickim - jesienią 1939 r. członkowie Selbstschutzu (paramilitarne oddziały złożone z miejscowych Niemców) oraz funkcjonariusze SS i policji zamordowali około 400 osób.

Białuty koło Działdowa – las w pobliżu tej miejscowości był miejscem rozstrzeliwań Polaków i Żydów.

Borek k. Lubawy.

Bratian - masowy mord dokonany przez niemiecki Selbstschutz 15 października 1939.

Komorniki k.Działdowa – miejsce straceń polskich i mazurskich elit z działdowszczyzny w 1939 r., potem więźniów obozu karnego w Działdowie.

Lubawa ul. Browarowa - rozstrzelanie kilku osób 7 grudnia 1939 roku.

Nawra pod Nowym Miastem Lubawskim.

Pan Sławomir Biegański we wrześniu 1939 roku miał 6 lat i nie zdawał sobie sprawy z tego, co się wokół niego dzieje. Jak również z tego, że kończy się jego bez troskie dzieciństwo.

NIKOMU TEGO NIE ŻYCZĘ

Urodziłem się w 1934 roku w Grodnowicach, gmina Wielichowo, powiat Kościan. Mieszkaliśmy w miejscowości Dakowy Suche, gmina Buk, około 30 km na zachód od Poznania. Nasza rodzina składała się wówczas z rodziców, Stanisława i Heleny z domu Smulka oraz z dziesięciorga dzieci w wieku od 1,5 do 14 lat.

Miałem zaledwie 6 lat jak wybuchła wojna. W 1939 roku ojciec mój został powołany do wojska. Po zakończeniu kampanii wrześniowej wraz ze swoją jednostką przeszedł Węgry i tam został internowany. Przebywał tam do końca września 1940 roku. Jak nie było ojca, pewne osoby namawiały moją mamę, by zapisała się do III Rzeszy na listę folksdojczów. Zapewniali, że nie stanie się jej żadna krzywda i będzie mogła pozostać na gospodarstwie. Mama kategorycznie odmówiła.

Gdy ojciec wrócił z internowania na początku października 1940 r., Niemcy wyrzucili nas z gospodarstwa. Była zimna noc. Widziałem przerażenie na twarzach rodziców. Proszę mi uwierzyć, w takiej sytuacji rodzice czują się bezradni, nie widzą żadnego wyjścia z zaistniałej sytuacji. Na spakowanie mieliśmy tylko 30 minut, by zabrać najpotrzebniejsze rzeczy. Niemcy zwracali uwagę na to, co jest zabierane z domu. Rzeczy cenniejsze nam odbierali. Z pościeli można było wziąć tylko pierzynę i poduszkę. Tylko tyle, na tak dużą rodzinę. Traktowali nas jak zwierzęta. Przypominam sobie, jak w trakcie pakowania Niemcy zażyczyli sobie zabicia dwóch kur. Uwierzy Pani? W takim momencie, kiedy człowiek nie wie, co ma ze sobą zrobić.

Mieliśmy psa, Muchę, został zastrzelony na naszych oczach. Wszyscy patrzyliśmy na to, płakaliśmy. Potem załadowano nas na furgonetki i zawieziono na stację kolejową w Opalenicy. Tam mieszkała siostra mojej mamy. Bracia ją zawiadomili

i wspomogła nas przynosząc nam trochę jedzenia, tyle ile mogła. Byliśmy bardzo głodni. Nie pamiętam z czym była ta kanapka, ale pamiętam, że była pyszna. Stamtąd wagonami zostaliśmy przewiezieni do



Sławomir Biegański

fot. Beata Matuszewska

obozu przejściowego w Łodzi i umieszczeni w hali fabrycznej przy ul. Łąkowej. Tam Niemcy dokonywali szczególnej rewizji i zabierali wszystkie kosztowności, takie jak pierścionki, naszyjniki oraz pieniądze. Za próbę ukrycia czegokolwiek stosowano wobec wszystkich represje.



Rodzeństwo Pana Sławomira Bogańskiego

fot. archiwum rodzinne

To było straszne. Pamiętam jak w nocy bez potrzeby budzono nas i przeganiano na plac fabryczny i z powrotem. Na placu fabrycznym często staliśmy w deszczu. Nie zwracano uwagi na stan naszego zdrowia i na to, że wśród tych ludzi były dzieci; małe, przerażone dzieci. Warunki w obozie były potworne. Ciągłe jakieś nowe rodziny przyjeżdżały, inne były wywożone, panował chaos i zamęt. Towarzyszył nam strach, okropny strach. Słysząc było ciągle krzyki, płacze dzieci, a to nie pozwalało chociaż na chwilę odpocząć, złapać oddech. Spaliśmy całą rodziną na podłodze, okrywaliśmy się tylko tym co mieliśmy, a mieliśmy jedną pierzynę. Dwanaście osób i jedna pierzyna. Tuliliśmy się do siebie, by było nam cieplej. Jedzenia było mało, jedliśmy suchy chleb i piliśmy czarną kawę.

Pod koniec października Niemcy wywieźli nas do Generalnej Guberni. Zamieszkaliśmy w miejscowości Rybice, gmina Rejowiec (pod Chełmem Lubelskim – bs) na 3-hektarowym gospodarstwie, bez żadnego zabezpieczenia na okres zimy. Przez cały czas podróży, przemarszów i pobytu w obozie byliśmy eskortowani przez żołnierzy z karabinami gotowymi do strzału. Nikt nas nie informował o trasie i celu podróży.

Po gehennie podróży rozpoczęła się gehenna przetrwania. We wsi, w której zamieszkaliśmy, żyli ludzie biedni i zarazem nieufni. Nie pomagali nam, sobie nawzajem też nie pomagali. Mieszkanie, które nam przydzielono, składało się z jednego pokoju i kuchni, nie było łóżek, podłoga była gliniana. Nie było czym palić w piecu, mieszkanie było wyziębione. Pamiętam, że zima wtedy była mroźna, ściany

w domu zamarzały. Bardzo często brakowało nam artykułów żywnościowych. Cierpieliśmy z głodu i chłodu. Sytuacja była makabryczna. Potem na tych terenach grasowały bandy UPA, napadali na wsie i mordowali ludzi. Mój ojciec wiedział, że jest groźnie, więc spał z siekierą, by w razie niebezpieczeństwa móc nas obronić. Ciągłe towarzyszył nam paralizujący strach, wciąż baliśmy się. W tych rejonach byliśmy do 1945 roku, dopóki Poznań i jego okolice nie zostały wyzwolone.

Takie było wtedy życie, przeżyło się wszystko, człowiek ucierpiał na zdrowiu i tyle. Nie chciałbym, by kiedykolwiek się to powtórzyło, nigdy więcej. Nikomu tego nie życzę.

wysłuchała Beata Matuszewska



fot. archiwum rodzinne

Siostry Sławomira Biegańskiego na wygnaniu

Sławomir Biegański jest uczestnikiem projektu Strażnicy Pamięci z Olsztyna.

Wojna zabrała mi dzieciństwo, zabrała szkołę, zabrała rodzinny dom i ojca. Nadal mi się śni po nocach. Często krzyczę przez sen.

WOJNA ZABRAŁA MI WSZYSTKO

Moi rodzice Władysław i Maria Kilisiowie mieli sklep w Pułtusk, przy rynku w domu Barczaka. To był sklep, ale można tam było też zjeść bardzo dobre flaki, także obiad. Niedaleko były koszary, bardzo często żony oficerów – wiadomo jak się w wojsku przed wojną dobrze zarabiali – zamawiały sobie obiad do domu.

My najpierw mieszkaliśmy w domu Barczaka na górze nad sklepem, ale rodzicom dobrze się wiodło i przenieśliśmy się do domu, który rodzice kupili w Popławach po drugiej stronie Narwi. Przed wojną zdążyłam pójść do pierwszej klasy.

Gdy wybuchła wojna nie miałam jeszcze 9 lat. Pamiętam, że Niemcy przyszli po nas nocą. Nic nie pozwolili zabrać, nawet chustki do nosa, mówili, że wrócimy. Zwieźli nas tej nocy na rynek; kościół był już zapchany ludźmi, musieliśmy czekać na dworze, przed tym domem Barczaka, w którym ojciec miał sklep. Zapakowali nas potem na wojskowe ciężarówki, w każdym rogu stał niemiecki żołnierz z karabinem i zawieźli do Działdowa. Matkę, ojca, brata Zbyszka i mnie. Dwaj pozostali bracia Kazik i Jurek, byli wtedy u rodziny na wsi i dlatego ich nie wywieziono.

To był rok 1940, ojciec był już wtedy bardzo chory. Obóz w Działdowie był przepelniony, budynki koszarowe, niektóre stoją do dziś, były zajęte, nas ulokowano w stajni. Przywieźli nas jak bydło i trzymali jak bydło, na gnoju. Tej stajni już nie ma, nie

ma też portierni, pamiętam, że jak nas przywieźli siedziała tam jakaś kobieta i krzyczała: „oddawać złoto”. Jeszcze dziś ją widzę i słyszę. Matka oddała kolczyki, pierścionki, ale obrączki nie chciała oddać. Pamiętam jak ojciec ją prosił: „Natka (tak na matkę, która miała na drugie imię Natalia, mówił w domu) oddaj”. Po wojnie, jak już zarabiałam, kupiłam potem matce nową obrączkę, ojcu też pomnik wystawiłam, za pieniądze, które po pracy w zakładach



fol. www.powiatdzialdowski.pl

W Działdowie niemiecki obóz mieścił się w przedwojennych koszarach

mięśnych zarobiłam zbierając jagody i żurawiny pod Olsztynem. Razem z matką i jednym braci leżą na cmentarzu w ojczyściej parafii Gzy pod Pułtuskim.

W tym Działdowie długo nas nie trzymali. Ale zapamiętałam zatłoczoną stajnię, brud i wychodek, czyli po prostu długi drąg nad wykopany rowem. Strażnicy z wieżyczek, czasami strzelali do załatwiających się ludzi i śmiali się, gdy ci wpadali w ten dół.

Wygnani zostaliśmy do Generalnej Guberni do

wsi Grzegorzowice, parafia Sieciechowic, na północ do Krakowa. Gospodarz nazywał się Kołodziejczyk. Nikt z tych, których znałam z wojny, już tam nie żyje, ale jesteśmy cały czas w kontakcie, kartki na święta sobie wysyłamy. Gospodarz był dobry, ale bieda tam była starsza: jedna morga, jak kto miał krowę albo konia, to już był bogacz. My mieszkaliśmy w gorszej części glinianej chaty, okienko małe, wilgoć, a zimą szron na ścianach. Nie mieliśmy ni-



Grób ojca Anny Sobolewskiej pod Krakowem
fot. powojenna ze zbiorów autorki

czego, pomagaliśmy w domu i w polu, ale tak naprawdę zdani byliśmy na ludzką łaskę. W Grzegorzowicach zmarł mój ojciec, tam został pochowany, miał 61 lat. Ja tam byłam przyjęta do pierwszej komunii, byłam bierzmowana. Tak nas rodzice nauczyli życia - Pana Boga znamy i kochamy! Do bierzmowania szłam w pożyczonej bluzce, jeszcze ją pamiętam. Potem byliśmy jeszcze na osiedleniu we wsi Wielki Dół, to jakieś 20 kilometrów dalej od Krakowa, u gospodarzy Sypików. Też byli dobrzy ludzie, choć pamiętam, że kiedyś, już po śmierci oj-

ca, przy studni jakaś sąsiadka powiedziała do mamy: „Wy wygnańcowa, lepiej już wracajcie do tego swojego kraju”.

Jak w 1945 roku weszli Ruski, mama zaraz pojechała szukać dzieci, bo moi bracia Jurek i Kazik z nami nie byli. Kazik, choć miał tylko 14 lat, był przez Niemców zabrany do kopania okopów, odbiło się to na jego zdrowiu do końca życia.

Zostały tylko gruzy

Nasz dom na Popławach w Pułtusku, był spalony i rozebrany, tam przecież przez pół roku stał front. Trafiliśmy do Olsztyna. Jeszcze w 1945 r. jako pierwszy pojechał tam najstarszy brat Zbyszek. Na szaber, bo przecież nic nie mieliśmy, nic nam z domu nie zostało, a przed wojną rodzice żyli przecież bardzo dobrze i mieli wiele naprawdę pięknych rzeczy. Na przykład komplet srebrnej stołowizny, dziś powiedzielibyśmy sztucców, jaki rodzice dostali w prezencie ślubnym – w 1940 roku jeszcze nie wyszliśmy z domu, a Niemcy już go zabrali. Kiedy brat wrócił z Olsztyna, mówił, że znalazł pracę w fabryce zapalek (nieistniejące budynki w miejscu dzisiejszego CH Aura- bs), że rozmawiał z dyrektorem, że będzie robota i dla mnie. Mieszkaliśmy wtedy, w 1946 roku, w budynku przy ulicy Wiejskiej obok szkoły i straży pożarnej, pracownicy fabryki sami go remontowali.

Dyrektor – to był oficer lotnictwa, bez nogi - bardzo dbał o ludzi, a praca przy zapalczkach była niebezpieczna. My dzieci, w ogóle nie mogliśmy zbliżyć się do maszyn, włosy trzeba było mieć schowane pod chustką, miałam 14 lat i pracowałam przy pakowaniu pudełek. Olsztyn był wtedy bardzo zniszczony, obnażony, wypalony więcej przez Rosjan niż przez wojnę. Potem, kiedy fabrykę zapalek przeniesiono z Olsztyna do Sianowa, nawet tam na jakiś czas pojechałam, ale wróciłam, pracowałam potem w zakładach mięsnych. Całą rodziną mieszkaliśmy w Olsztynie, mąż który był zawodowym wojskowym (w szafie p. Anna Sobolewska trzyma jego mundur m.in. z medalem za udział w bitwie pod Lenino – bs) dawno nie żyje. Dziś, kiedy także bracia pomarli, zostałam sama z tego pokolenia.

Wojna mi się nadal śni, często krzyczę przez sen. Do tego, co zostało z obozu w Działdowie, zabrałam kiedyś swoje wnuki, żeby zobaczyły. Wiele razy byłam tam sama, to blisko od stacji kolejowej. Zdarzało się, że szłam, stawałam pod płotem i płakałam.

spisał bs

Anna Sobolewska jest uczestnikiem projektu „Strażnicy Pamięci” z Olsztyna i uczestnikiem grupy wolontariuszy-seniorów przy Federacji FOSa.

W domu się o tym nie mówiło, był to temat tabu. Tak, o wojnie nie wolno było mówić.

MAMO ZIMNO, MAMO JEŚĆ

Mama nie chciała, by coś przypominało wojnę, to był okropny czas i złe wspomnienia. Jak zmarła, to ani ja, ani moja starsza siostra też nie chciałyśmy o tym mówić. Dopiero później coś w nas pękło. Miałam 10 lat, był rok 1940. Mieszkaliśmy we wsi Pawłowo, za Gruduskiem, między Mławą, Ciechanowem, Przasnyszem. Stamtąd byliśmy całą rodziną wywiezieni: rodzice, Helena i Franciszek, starsza siostra Danusia lat 13, młodsza Melania lat 7, ja lat 10 i mój mały braciszek Antoni, który miał zaledwie 4 lata. Mieliśmy mało czasu na spakowanie. Można było zabrać ze sobą tylko tyle, ile się w rękę weźmie i to wszystko, nic więcej. A ile się zmieści w rękach, ile dobytku można zabrać? Pamiętam, że mamusia wzięła pierzynę. Trudno było się zebrać pod presją czasu. Towarzyszyło nam zdenerwowanie, strach

poprzegradzane jak dla świń. Mieliśmy menażki, w które nalewano nam zupę ze zgniłych, śmierdzących brukiew. Mama nas przymuszała, byśmy chociaż wo-

chce się pamiętać. Myślę, że byliśmy skazani na śmierć, bo wszyscy, którzy byli przed nami nie przeżyli. Okazało się, że to właśnie my byliśmy podobno pierwszą grupą ludzi, którzy przeżyli. Przerazało mnie, jak płakały dzieci i mówiły tylko: "mamo zimno, mamo jeść". Słowa te zostają w pamięci, do końca życia, dźwięczą w uszach. Widziałam tylko rozpacz, nikt się nie bronił, ludzie byli bezsilni. Każdy siedział w kącie i płakał, ale nie głośno, nie wolno było głośno płakać. Spaliśmy tam, tak jak zwierzęta, na słomie, jeden przy drugim. Nic nam nie dali do przykrycia, mieliśmy jedną pierzynę, którą mama zabrała i nią się okrywaliśmy. Ciężko było się okryć jedną pierzyną.

W obozie byliśmy miesiąc, potem stamtąd zabrał nas Niemiec, nazywał się Kojrys i tam u niego rodzice służyli. Widziałam, jak



Ksawera Chmielewska fot. Beata Matuszewska

i przerażenie. Zabrali nas i wywieźli do przejściowego obozu, który mieścił się w Działdowie. Pamiętam, że była tam masa ludzi, wszyscy płakali, całe rodziny płakały. To było straszne, bałam się. Nocowaliśmy w barakach... Nie, właściwie to nie były baraki. To była długa szopa. Tak mi się wydawało wtedy, patrząc na te budynki oczami małego dziecka. Nie było łóżek, tylko takie kojce,

dę z tej zupy wypili. Była wstrętna, ale trzeba było jeść, by móc przeżyć. Byliśmy tam całą rodziną, nie rozdzielano nas. Czasami niektórych mężczyzn zabierali, nawet naszego tatusia zabrano, wtedy był jeszcze gorszy płacz, bo nie wiadomo było, czy ci których zabierają, wrócą do tej szopy, w której byliśmy trzymani. To było coś strasznego, tego nie da się słowami opowiedzieć, tego nie

raz ten Kojrys mamę bił. (...)

Wojna nauczyła mnie być wrażliwą na potrzebę innych ludzi. Bo po takich doświadczeniach jest się albo bardzo złym człowiekiem, albo czułym na krzywdę innych.

spisała Beata Matuszewska

Ksawera Chmielewska jest uczestniczką projektu "Strażnicy Pamięci" z Olsztyna.

Z WNUKAMI W OBOZIE

22.09.2015 uczestnicy projektu „Strażnicy Pamięci” wraz z młodzieżą uczęszczającą na zajęcia w klubie młodzieżowym działającym przy Ośrodku Psychoedukacji Profilaktyki Uzależnień i Pomocy Rodzinie w Iławie (wydział Urzędu Miasta Iławy) oraz uczestnikami warsztatów terapii zajęciowej w Iławie odwiedzili Potulice.

Program wyjazdu obejmował zwiedzanie pozostałości po Centralnym Obozie Pracy w Potulicach

(Lebrechtsdorf), parafii rzymskokatolickiej pw. Zwiastowania NMP w Potulicach oraz Cmentarza Ofiar Niemieckiego Obozu Przejściowego i Pracy.

Uczestnicy projektu „Strażnicy Pamięci” mieli okazję odwiedzić groby swoich bliskich, niektórzy po raz pierwszy od zakończenia wojny.

Aleksandra Szulc

Koordynatorka projektu "Strażnicy Pamięci" z Iławy.





Potulice – Zamek

Piękny zamek w Potulicach
Przyjął polskie dzieci te,
Co zbłądziły wśród zamieci
By tu skłonić głowy swe.

A przed nami drut kolczasty
Co otacza wkoło nas,
A przy bramie czuwa warta
I pilnuje dobrze nas.

Co dzień rano słowik śpiewa
Smętną piosnką budzi nas,
Zegar bije 6 - tą rano
I do pracy wzywa nas.

Dzień uchodzi przy robocie
Snuje się nam leniwie,
Bo dziś każdy jest przejęty
Troską o swej rodzinie.

O, Boże, wysłuchaj biednych
Spraw, by druty pękły wraz,
A my wolni i szczęśliwi
Powrócili do swych chat.

Jednak miejmy nadzieję,
Że to wszystko skończy się,
Powrócimy do swych domów
I będziemy szczęśliwi.

Potulice – lager

Dookoła lasy, dzikie pustkowie
W sercu apatia, tęsknota żal,
Za okrucz chleba pracować trzeba,
Straszna niedola zaczęła się.

Oczy spuszczone, włosy zgolone.
W kieszeniach pustki aż śmiać się chce.
Lecz przyjdą chwile, będzie nam milej,
Nie będzie zawsze nam tam źle.

Barak mieszkaniem naszym nazwany,
Na zgniłej słomie musimy spać.
Drutem kolczastym nas ogrodzono,
I esesmani pilnują nas

O 6 - tej rano słoma się rusza,
A z niej wychodzi niewolnik – dziad.
W tempie szalonym kawę wypija,
Bo wczoraj całą porcję chleba zjadł.

Za cudze winy, z Niemca przyczyny
Kraj jest nasz cały zboczony krwią.
Miasta zburzone, wsie popalone,
Nasze rodziny z głodu mrą.

Lecz idą nasi od strony morza
Niosą nam wolność z różnych stron.
Powróci ojciec, syn, matka żona,
Bo już wolności bije dzwon!

Halina Kurpiewska-Wiśniewska

